№ 10. Warszawa, dnia (26 Lutego) 10 Marca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . . rs. 1. Za odnoszenie do domu kop. 10.

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . . rs. 1.25, półrocznie . . „ 2.50, rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3**, na prowincyi **mr. 3 75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60**, lub walutą zagraniczną podług kursu.

Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** **„Nadesłane"** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura** ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1900.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

„Moja ty poetko czynu!

„Co to jest poezya czynu, albo poezya miłości?.. To liryzm, wściekły liryzm i nic więcej! Posłuchaj co o liryzmie mówi mój mistrz, a gdy i wtedy będziesz trwać w swej zmysłowości wrażeń, powiem ci biedna, biedna duszo, czołgająca się po rozłogach ziemi, żeś nie zdolna ulecieć i odczuć nagiego, bezpośredniego stanu duszy.

„Liryka znamy z tysiąca tysięcy nagromadzonych tomów, z nagromadzonym zasobem zmysłowych wrażeń, które przetwarza na coraz to nowe obrazy; jego fantazye są zawsze czerpane z życia rzeczywistego, boleści jego i radości mają zawsze *przyczynę*. Liryk ten nie oddaje rzeczywistych stanów duszy, tak jak się bezpośrednio przejawiają, ale wiąże je za pomocą logiki, łączy je mechanicznie logiczną asocyacyą.

„Dobrze żeś uciekła i skryłaś się w cuchnące powszedniością życie wioski zabitej deskami... „U nas tęsknota zmienia się odrazu w wściekłe pożądanie, a na ciche jezioro szczęścia, przesyt pluje odrazą i wstrętem." Tacy jesteśmy, zwiastuję ci to słowami naszego mistrza.

„Naturalnie, że tego rodzaju sztuka stawia czytelnikowi wielkie wymagania. By ją zrozumieć, trzeba pogrążyć się w duszy poety... Czyś się w mej duszy kiedy pogrążyła? Trzeba się wessać w najtajniejszą głębię, aż obie dusze poety i czytelnika stworzą jedną. Czyś się wessała?.. Dusza wtedy się rozrasta, sięga rękami poza krańce nieba, oczy się zamykają, świat cały ginie... Gdyby gasnącą falę, słyszę preludyum Chopina—jakiś obłok rozpływający się na niebie; modre, mgliste opary wznoszące się nad oceanem, a nad tem wszystkiem błędna gwiazda śniąca o wieczności.

„Oto jest nasza poezya, a ty mi, utylitarny słowiku, nucisz piosnkę o tendencyi i przyczynowości! Tendencya i przyczynowość obchodzą trzeźwych mieszczan i podły plebs. Co mnie mogą obchodzić jedni i drudzy? Nie chcę nikogo uczyć, nikomu nie chcę tłómaczyć, nikogo zbawiać, nikogo kochać, nikim się zajmować. Poezya moja, to czar suggestyi, narzucający swe wrażenia z potężną siłą... Z oczu ginie nam człowiek, a dźwiga się idea.

„Pluj na formę, na loikę, na przyczynowość, na wszystko, byleby wywrzeć bezpośredni szereg wrażeń, tworzących suggestyę. W tym stanie granice giną, słowo działa jednocześnie, jak ton i barwa! Wszystko spływa w jedno, w owym tajemniczym punkcie duszy, w którym zmysły się przenikają tak, że każde wrażenie przejawia się we wszystkich swych wartościach.

„Przyjaciel mój przysłał mi wiersz — posłuchaj:

O, bez skrzypcowych łkań,
Tańce gwiazd pod oponą niebiosów,
O, pląsy pełne migotań i drgań,
Świetlaków wśród kwiecia zapomnień i wrzosów.
O korowody umarłych cieni,
Wśród wirowań eterów przestrzeni,
O płynące kaskady
Pod zamyślonych i w czarne arkady!..

„I cóż pani powiesz o tem powinowactwie cieni i kwiatów w zmierzchu... Przepych — a niema nic, absolutnie nic tylko nastrój, że gdybyś go nie odczuła, wziąłbym cię za liryczną idyotkę, pożądającą podłej kadencyi, głupiego sensu, głupszej logiki, a nie suggestyi płynącej z nastroju.

Wicek i ja plujemy na formę... Suggestya, jakież rzuca czary na ten biedny świat uwię-

ziony w naszych podłych i niedołężnych mózgach... Suggestya przemawia wprost do duszy...

„Pisałaś coś o swem zdrowiu!.. Pluj na zdrowie wobec nastroju.

„Mruk i Mira" — wytęż słuch, lecz słuch twej duszy, a nastrój sam sprowadzi suggestyę... „Mruk i Mira" ostatni mój utwór wypełzał tajemniczo z nagiej mej duszy, nazwany po staroświecku natchnieniem.

„Są blizko siebie
„Mruk i Mira.
„Jej włosy czarnem pasmem osunęły się na ramię, na pierś.
„Rąbek koszuli białej drgnął.
„Podniosła głowę—przechyliła w tył.
„Powieki zasłoniły źrenice wilgotne, przemglone.
„Rozchylają się wargi,
„U progu ust staje myśl, pragnienie. Patrzy w twarz jego, w twarz Mruka.
„Tchnienie rozkoszne, pachnące.
„Jakby ktoś mówił „Mruk" bardzo cicho.
„On czuje: teraz ktoś powiedział Mruk.
„Nie wie.
„Może on słyszał źle... może to jego pragnienie—myśl mówi w nim — Może—a może...
„Nie!.. Znowu słychać szept—tchnienie.
— Mru-ku...
„Boi się—lęka—nie wie.
„To takie dziwne jest. Dziwne.
„Głowa osuwa się na bok.
„Oczy, wargi, palce drżące odrzekły.
„Mi-ra, Mi-ra.
„Czuje: teraz dotknął przesłony, za którą jest cud.

. . . .

„Jeżeli to będziesz czytać i odczuwać nędznymi zmysłami, jakimi rozporządzamy dziś i liryzmem, jaki w was od tylu pokoleń tkwi, to czary te przejdą ponad tobą i nie zakołyszą twojem jestestwem, nie wessą się w ciebie. Dusza twa nie zleje się w jedno z moją duszą—i nie staniesz się twórcą podobnym mnie. Nie usłyszysz obcych głosów, których nigdy nie słyszałaś, dusza twa nie rozrośnie się, aby rękami sięgała aż poza krańce nieba, oczy się nie zamkną, świat nie zgaśnie. Lecz to jedno odczuwasz, że my stwarzamy nowe światy ze zbliżeń się kobiety z mężczyzną, dotąd nieznane i niedościgłe, przez żadnego z liryków świata..."

. . . .

Dziewczę wypuściło z rąk list, oczy przetarło, podbiegło do okna—otworzyło je.

Mleczna droga zwieszała się na wschód, sklepienie nieba, lazurowo-przejrzyste płynęło w nieskończoność. Biała mgła czając się ciekawie, wolno nadciągała z moczarów, a stare lipy z pod kościołka opowiadały szmerem jakieś tajemnice dębom.

— Boże, dziękuję ci za te zmysły, które mam dziś, i za liryzm, który we mnie pokoleniami tkwi. Niemi nauczyłam się patrzeć na piękność natury i odczuwać ją. Liryzm stworzył we mnie kulturę i odczucie piękna. Liryzm stał się moją organiczną cząstką, uczucia moje winnam liryzmowi, który od wieków unosi się nad narodami i człowiekiem.

Nie chcę, aby dusza moja wessała się w twoją duszę. Z duszą moją zlewają się cząstki geniuszów, którymi żyje ludzkość i człowiek mogący je przyjąć. Może me oczy nie zamkną się i świat nie zgaśnie, tylko po to, aby widziały jedynie wizye, które dajesz... Świat, ludzie, piękno, sztuka, praca milionów lat, nie na to trwają, aby stwarzać wizye, jako przedsmaki nieskończoności!.. Praca ich jest trwaniem nieskończoności wpośród pokoleń...

Na usta jej siadł uśmiech. Patrzała w gwiazdy—drżały uśmiechami jak wargi jej. Mleczna droga coraz więcej spadała na południowy wschód...

Wróciła do stolika, podjęła list i na papier zasiany czarnymi hieroglifami przeniosła wzrok...

„Są sami przy sobie... tak bardzo razem... tak bardzo blizko... Tak cicho.
„Tak dziwnie słyszą: słyszą własne milczenie...
„Tak dziwnie czują: czują musnięcie aksamitnych tonów.
„Tak dziwnie widzą: widzą pieśń promienną. Widzą — pieśń ku nim przyszła, pieśń jasna.
„Dwa tony splecione, dwa dźwięki miękie.
„Mruk i Mira."
„Pieśń promienna, pieśń biała.
„Biała ta pieśń ciągle we mnie gra..."

„Cóż ty na to, co nosisz symbol mądrości i jego nazwę — Zofia?.. Jeżeli mądrość nie wysuszyła w tobie przeczuć nieskończoności, tego demonicznego piękna bólu, co przetwarza, odradza i nowe, bezkresne przestrzenie roztwiera, to zrozumiesz i modlić się do mnie będziesz."

Zerwała się.

— Dlaczego ja mam modlić się do ciebie?.. Czy dlatego, że grasz ciągle na jedną nutę, jedną ciągle powtarzającą się pieśń... Wizye dzikie, niezaspokojone hucie, dzikie wybuchy przyrody święcącej swój sabat—sztukę, co nic nie wyjaśnia, dając tylko bezpośredni szereg niepowiązanych wrażeń?..

Uklękła patrząc w niebo.

— Boże ulitowałeś się nademną i wyrwałeś mnie z piekła wizyi, halucynacyi, fałszywych bólów, zwyrodniałych ekstazyj, po których zostaje straszna niemoc, zwątpienie, smutek, odraza do rzeczywistości, lenistwo ducha, lenistwo czynu, apatya i sen poprzedzający znowu halucynacye i orgie fantazyi...

— Wiosko moja cicha, w tobie drzemie pieśń przyszłych natchnień, przyszłych bojów... Wiosko, w której się dźwiga dusza biednego ludu twego. Duszę tę budzić z letargicznego snu, wieść ku dobru i pięknu, to dla mnie najmilsza ekstaza — namiętność najszlachetniejszej wizyi... Czuję, że wytrwam. Sekciarstwo wasze tworzy we mnie, drogą reakcyi, moc i energię.

Boże wytrwania, daj mi moc, daj mi siłę!.. Sił i wzroku mego, i pragnień moich nie odrywaj w poza światowe wizye, w mistyczne kręgi wszechświata — one są tu tak potrzebne!..

Pragnę, abym gdzie spojrzę, robiło się jasno, bo patrzę ciepło i uczciwie. W którą stronę wyciągnę ręce, serca biły radośniej, bo je wyciągam z miłością do ludzi. Gdzie głos poszlę, chcę wydobywać uśmiechy, bo głos mój szczerości pełen. Taką być się staram i taką być muszę... To jest rozkoszą życia—tej jednej chwilki w wszechświecie, a jednak chwilka ta, to skończona sama w sobie całość, stanowiący odrębny cały mój świat, moją indywidualność. Niechże nie pójdę z próżnemi rękoma przed tron Przedwiecznego! Nam potrzeba przedowszystkiem pracy nie marzeń—miłości nie orgii. Niechaj to będzie moją tęsknotą i mojem upojeniem... „Plon niesiemy ci Panie, plon" — nie z wizyi, tęsknot i upojeń, lecz z kłosów naszej miłości stworzonej naszą energią i wytrwałością!..

Nie chcę być dręczona wieczną nostalgią, gorączką tęsknoty, odarta, bez sił — smutna jak śmierć... Inne są cele mego życia!

Podniosła porzucony list i gorączkowo go kończyła.

„Nie będę ci opisywał naszych nocnych zabaw, naszych wrażeń, naszych uciech. Nadto jesteś skromna po mieszczańsku, nadto dziewicza, nadto pospolicie moralna, nadto zdrowa, nadto... Wszystkiego masz nadto! Mimo to wszystko tęsknię za twoim uśmiechem zimnym a tęsknym, z twojemi błękitami oczu—widzę w nich marzenia o wieczności... Za włosami twemi... Ach twoje włosy, gdybyś je rozrzuciła na twe alabastrowe ramiona i pozwoliła chociaż je wzrokiem pieścić..."

Na dziewczę buchnęły ognie, list odrzuciła.

— Nie jestem tą — szeptała—mam wstyd. Dało mi go tyciącletnie panowanie chrześcistwa, wpiło się w mój organizm, w moją duszę, w moje nerwy, w moje ja, i stało się moją naturą, moją pięknością, cnotą, czystością, niepokalaniem. Nie będę dla ciebie tycyanowską karnacyą piękności ciała — nie—nie!.. Jak ty śmiesz mi to pisać!..

Zmęczona, wzburzona, lecz rada z siebie zasnęła... We śnie lilie spadały na nią. Tuliła je do swego dziewiczego łona.

Gdy rano oczy otworzyła, czuła ich zapach i szukała obok siebie.

Dzwoniono na mszę. Zapach lilii delikatny jak wspomnienie, był ciągle przy niej. Wstała, poszła do kościoła.

Nikogo, prócz księdza przy ołtarzu, chłopca na stopniach i ona jedna. Przez małe, szare szybki okien wciskało się zielonawe światło od liści drzew przytulonych do kościoła. Półmrok i cisza nastrajały duszę do modlitwy. W głównym ołtarzu kopia Wniebozięcia Murilla, harmonizowała się z myślami dziewczyny. Pogrążona w szaro-zielonawym kolorycie wiejskiego kościołka—marzyła. Dzwonek ją budził; pochylając głowę wlepiała wzrok w obraz występujący z ram... Szeptała mechanicznie pacierze, a rozpierzchłe jej myśli skupiały się, krystalizowały i zwarte szły prosto do nieba.

Po mszy wracała orzeźwiona.

— Ten zapach lilii przy mem przebudzeniu czy to upojenie, czy wyostrzone nerwy tęsknotą? I znowu ta pożerająca tęsknota szarpiąca nasze nerwy. Tęsknijmy, lecz nie do utraty energii życia! Dosyć już, dosyć tego udręczenia i tych bolesnych upojeń, żyjmy i pracujmy, to także rozkosz.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Monopol dyamentowy.

Każde prawie ważne odkrycie zawdzięczamy przypadkowi. To, o którem słów kilka mamy w tem miejscu do powiedzenia, zaliczyć się daje do tej kategoryi, a jakkolwiek, bezpośrednio biorąc, ważność jego jest natury czysto materyalnej, za to następstwa odkrycia są niezmiernie różnorodne i skomplikowane.

Zacznijmy od samego faktu.

W roku 1867 młody chłopiec syn boera nazwiskiem van Niekerk znalazł na brzegu rzeki Orange w Południowej Afryce jakiś rodzaj kamyka błyszczącego, którego krajowcy nie widywali tam do tej pory. Dziecko bawiło się kamykiem, bo zachwycały je promienie słoneczne odbijające się tak świetnie w tej brylce kwarcu. Traf zdarzył, że przechodził wówczas właśnie wybrzeżem rzeki pewien irlandczyk, a że ten słyszał nieco więcej o tego rodzaju kamykach, niż owo dziecko boerskie, przeto udało mu się od niego, za jakiś tam lichy datek wyłudzić znaleziony przedmiot. Fakt byłby utonął w niepamięci, gdyby w jakiś czas potem ów irlandczyk nie był zjawił się w domu van Niekerka i nie przemówił do niego temi słowy: „Przynoszę wam tutaj 6,000 franków. Jestto połowa sumy, jaką otrzymałem za dyament, który mi odstąpił wasz syn — drugą połowę zatrzymuję dla siebie.

Zawrzało w kraju całym, a niebawem i w Europie. Co było awanturników w pięciu częściach świata, wszystko to pędziło na Południe Afryki. Eksploatacyę rozpoczął z miejscowych mieszkańców pierwszy ów van Niekerk i posłużyła mu ona dobrze, gdyż umierając przed niedawnym czasem, pozostawił rodzinie znakomitą fortunę zgromadzoną na poszukiwaniu dyamentów.

Zaczęto sondować rzeki, kopano studnie i wkrótce ustaliło się na doświadczeniu oparte przekonanie, że warstwy spodnie tego gruntu zawierają skarby nieprzebrane. Wkrótce też zjawił się i słynny Cecil Rhodes, który ponieważ nie był człowiekiem poprzestającym na drobnych korzyściach, zrobił odrazu zakrój na owładnięcie całą powierzchnią ziemi zawierającej dyamenty. Wegetowało tam do roku 1880 kilka kompanij, z których największa operowała przy pomocy kapitału 5 milionów franków zaledwie. Rhodes podniósł kapitał eksploatacyi odrazu do 60 milonów franków, a ponieważ i to jeszcze nie okazało się wystarczającem, przeto rozwiązano i tę spółkę, a założono ostatecznie istniejącą dotąt: *Beers-Consolitated-Mines-Company*, której prezesem jest po dzień dzisiejszy ten słynny awanturnik.

O środkach przy pomocy których doszedł Rhodes do tak niezmiernej potęgi dużo się mówiło od jakiegoś już czasu w świecie wielkich finansów, a dziś z okoliczności wojny angielskiej prowadzonej dla owładnięcia Transwaalem, mówi się więcej niż kiedykolwiek. Belgijskie mianowicio sfery przemysłowe dostarczają szczegółów o przebiegu całej sprawy — szczegółów, które angielskiemu przemyślnikowi wystawiają świadectwo sromotne całkowicie, a państwu, które się odważa iść jego śladami, nie o wiele wyższą pod względem etycznym kwalifikacyę.

Dzisiaj z powodu wojny w Transwaalu przemysł dyamentowy, który się ogniskuje w Antwerpii, przechodzi nader smutne przesilenie. Roboty zupełnie zawieszone, i w całem wielkiem mrowisku żyjącem wyłącznie z industryi dyamentowej, zapanowała nędza niesłychana. Wszystko oczekuje tu ukończenia działań wojennych, tylko że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, po tem ukończeniu akcyi, ogniskiem przemysłu nie będzie Antwerpia, o czem w tych sferach musi przecież być wiadomem.

Produkcya roku 1898 w kompanii, której przywodzi Cecil Rhodes, doszła do wielkiej cyfry 114,172,000 franków, wedle tego, jak pokazuje bilans Towarzystwa. Nie można się temu dziwić, jeśli zważymy, że monopol w handlu dyamentami posiada Transwaal, podczas gdy Indye Wschodnie i Brazylia nie są bynajmniej tem, czem były niegdyś. Indye dostarczają na rynki europejskie towaru zaledwie za 5 milionów franków, a z Brazylii przywożą już tylko gatunek dyamentów czarnych, znajdujących zastosowanie jedynie w przemyśle fabrycznym.

Sama tedy Afryka Południowa dostarcza tych świecidełek dla jubilerów całego świata, a w tej Aryce osobą naczelną w przemyśle dyamentowym jest Cecil Rhodes. Odgrywa on tę samą rolę w Afryce, jaką się w swoim czasie wsławił w Indyach Wschodnich Warren Hastings. Obydwaj będą mieli zaszczyt zajęcia niezaszczytnej karty w historyi.

Czytający dzisiaj bulletyny z pola krwawych bitw, wiedzieć powinni, że Kimberley, o który się tak dobijają strony walczące, to środkowy punkt eksploatacyi tych bogactw, których, jak obliczają, wydobyła dotą kompania zorganizowana przez Rhodesa za dwa miliardy franków.

Wielkie zabory, olbrzymie szachrajstwa, niezmierny przelew krwi ludzkiej, a wszystko to dla owładnięcia kamykiem, stanowiącym przedmiot pożądania kobiety. Ale wszak słyszymy ze wszystkich stron, że ta kobieta dojrzewa umysłowo i etycznie, że poślubia szczytne zadania, wyrzeka się próżnostek, które ją poniżały – że sięga po wszystko, co w sferze ducha zawiera się wielkich pragnień i ambicyj. Przecież niepodobna żeby ta, która dzisiaj tyle mówi i pisze o sobie, doświadczać miała jeszcze dreszczów dawnej niewolnicy na widok błyskotki, a w takim razie, coby się to na świecie stało z owocami tylu nagromadzonych nieprawości ludzkich—jakieby się okazały rezultaty przelanych potoków krwi — coby się stało jednem słowem, gdyby przedmiot najgorętszych pragnień przestał budzić te pragnienia — gdyby się dyament zdeprecyonował i wyszedł z mody?

Takiego potężnego przeobrażenia w świecie całym klucz spoczywa w ręku kobiety. Gdyby jej się spodobało wypowiedzieć wojnę dyamentowi, żadne sztuczki spekulacyi nie podtrzymają jego wartości ani na jedną godzinę dłużej.

Czy się kobieta poczuje do tej misyi?

Jeśli ruch umysłów w sferze niewieściej nie jest czczem słowem, jeśli oświecona i uszlachetniona część przodującego zastępu stanąć ma w istocie na wysokości zadania i pociągnąwszy za sobą massy, stworzyć metody wychowania doskonalsze od dzisiejszych, to dla kogo pozostaną wtedy kolie, dyademy, kolce, riwiery i t. p. i jaką może być cena kamyczków, z których się one składają?

S.

W SŁOŃCU.

I.

Na moją głowę połóż dłoń,
Na usta połóż róże —
Dziś będę pił ich dziwną woń,
Patrząc w twe oczy duże.

Mój ulubiony zanuć śpiew,
Tak go nuciłaś pięknie —
Dziś może w żyłach stanie krew,
Dziś — może serce pęknie...

Więc chcę go słyszeć jeszcze raz
W tych blaskach i w tej woni
Spiesz się — po kwiatach idzię czas
I śmierć już kosą dzwoni!

II.

Ty mi o śmierci mów, a ja tak zasnę,
Jak biała lilia zasypia na fali —
I przyjdą ku mnie aniołowie biali,
Na skroń mą skrzydła swe położą jasne,
Położą jasne swe skrzydła z opali,
I jakąś wielką jasnością i tęczą
Iście królewsko moją skroń uwieńczą.

Przybiegną ku mnie wszystkie wiatry polne
Przypłyną ku mnie białych chmurek roje
Patrzyć w tę duszę i w to serce moje,
Już teraz kochać nikogo niezdolne,
A tak złamane tem życiem na dwoje,
Jak ona brzoza, co za moją chatą
Leży, strzaskana gromem w zeszłe lato.

III.

Oto się wielkim blaskiem rozlało
Słoneczne morze —
Tak się rozlało skrami złotemi,
I stoi wielkie jasnością białą
Za naszem siołem i w naszym borze,
Na caluteńkiej tak stoi ziemi —
Słoneczne morze.

Poszła w tem morzu bezbrzeżnem tonąć
Dusza tęskniąca,
Poszła na blasków płomiennych krocie
W ogniu się kąpać i w ogniu płonąć,
A stoi cicha, a stoi drżąca,
Cała w purpurze i cała w złocie
Dusza tęskniąca...

A po co było tobie w te blaski
Iść, smętna duszo?
Po co ci było iść w tę słoneczność?
Twe łzy wypiły spalone piaski,
Twój mózg, te ognie wielkie wysuszą —
I taką będziesz przez całą wieczność
Stęskniona duszo!

Edward Słoński.

Sprawozdania literackie.

W. L. Sheldon: „Ruch Etyczny“ — tłóm. z angiel. przez J. K. Potockiego i W. M. Kozłowskiego.

Zajmującą książkę przyswoili tłómacze czytającemu ogółowi. Mimo nużącej rozwlekłości niektórych ustępów, nie wypuszczamy jej z rąk, i ze względu na przedmiot, interesujący w najwyższym stopniu każdego myślącego człowieka, darowywamy autorowi jego kaznodziejskie gadulstwo, a tłómaczom niezliczone błędy gramatyczne i stylowe.

Na wstępie opowiada W. L. Sheldon dzieje, tak zwanego przezeń, ruchu etycznego. Dowiadujemy się, że przed dwudziestu laty powstało w Nowym Yorku z inicyatywy dr. Adlera Towarzystwo Kultury Etycznej. Towarzystwo to przez lat piętnaście urządzało w poranki niedzielne pogadanki treści etycznej, a jednocześnie zajęło się gorliwie wcielaniem w życie krzewionych słownie idei. Nakreślono szeroki program prac filantropijnych, w których zakres wchodziło żywienie ubogich po domach, reforma mieszkań robotniczych, zakładanie ogrodów dla dzieci i szkół i t. d. Wiele pożytecznych przedsięwzięć powstało dzięki inicyatywie tego towarzystwa. W szkole, założonej przez nie, uczy się obecnie kilkaset dzieci. (Co prawda rezultat dosyć skromny, jak na pracę lat kilkunastu).

Po pewnym czasie zaczęły i w innych miastach Stanów Zjednoczonych powstawać podobne stowarzyszenia, a w dalszym ciągu zapoczątkowany w Ameryce ruch przeniósł się do Europy. Dr. Stanton Coit współpracownik Adlera założył Londyńskie Towarzystwo Etyczne, a Adler (o dziwo!) natchnął Berlińczyków zapałem dla ideałów etycznych. Prezesem zawiązanego tutaj towarzystwa został rektor wszechnicy berlińskiej dr. Wilhelm Forster, a najgorliwszym działaczem Jerzy Giżycki, redaktor pisma „Ethische Kultur.“

Niezależnie zresztą od usiłowań pierwszych pionierów ruchu etycznego organizowały się w Ameryce i w Europie liczne stowarzyszenia o podobnych zupełnie celach i zadaniach. W Londynie np. powstało drugie Towarzystwo Etyczne nie związane wcale ze wzmiankowanem poprzednio.

Wśród dalszych przedsięwzięć dr. Adlera wymienić należy: „Czasopismo międzynarodowe etyczne,“ do którego redakcyi należą pisarze różnych narodowości i „Szkołę etyki stosowanej.“ W szkole tej podzielono naukę na trzy działy: religii, ekonomii i etyki.

Usiłowania zmierzające do połączenia wszystkich stowarzyszeń etycznych w jednolitą organizacyę międzynarodową, nie udawały się dotąd. W ostatnich jednak latach, towarzystwa amerykańskie utworzyły t. zw. „Związek Etyczny,“ stawiając za jeden z najważniejszych artykułów swojej konstytucyi paragraf następujący: „Celem ogólnym ruchu etycznego reprezentowanego przez ten Związek jest podniesienie poziomu moralności i uobyczajenie jego członków, oraz całego społeczeństwa; jakoż wita on serdecznie i za towarzyszy swych uznaje tych wszystkich, którzy z celem owym sympatyzują, bez względu na ich przekonania teologiczne, lub filozoficzne.“

Są to wszystko fakta, które mało kto zna u nas, a przecież kto wie, czy nie mają one większej doniosłości i większego znaczenia dla przyszłości świata, niż epizody wojennej kampanii Boerów, lub inne fragmenty politycznej komedyi współczesnej.

Istnieje tedy ruch w kierunku doskonalenia duszy ludzkiej; ruch ten zbudził się śród społeczeństw najsilniej zmateryalizowanych, najbardziej zagrożonych i powstrzymanych niejako w duchowym swoim rozwoju.

Nie bez słuszności utrzymuje Sheldon, że blask cywilizacyi naszej, to blask próchna, że cywilizacya ta upada, ponieważ to, co stanowi rzeczywistą jej istotę, postęp i rozwój pojęć moralnych, zepchnięte zostało na plan ostatni; ludzkość zamyka uszy na głos sumienia, na zagadnienia natury etycznej, i idzie na oślep, popychana przez egoizmy jednostkowe, egoizmy klas lub szczepów. Upadają charaktery, zanika szlachetność. Opisane powyżej usiłowania towarzystw amerykańskich i europejskich są początkiem reakcyi przeciw temu ogólnemu prądowi.

W dalszych rozdziałach filozof amerykański przyjąwszy za zasadę, że ideały etyczne nie są niezmienne, że są wytworem pewnych warunków, pewnych okresów cywilizacyjnych, rozważa najrozmaitsze zagadnienia natury moralnej, nasuwające się dzisiejszemu człowiekowi.

Mówiąc o religii rozróżnia dwie jej strony: uczuciowo-dogmatyczną i etyczną.

Górującą myślą pierwszej — jak powiada — jest uwielbienie i Bóg, drugiej — czyn i obowiązek.

Ta druga ma źródło swoje we wrodzonej każdemu człowiekowi żądzy stania się lepszym, i wytworzenia dokoła siebie doskonalszej społeczności ludzkiej. Ona to w niedalekiej przyszłości zawładnie duszami ludzkiemi.

Człowiekiem religijnym nazywa Sheldon nie tego, który posiada jakieś określone wierzenia, lecz człowieka czującego silnie swoją łączność ze światem wyższego rzędu, swoją odrębność od natury materyalnej, człowieka, który wolę swoją poddaje prawu podyktowanemu przez głos sumienia, którego najżywiej obchodzą idealne strony życia.

W dalszym ciągu rozbiera Sheldon pojęcie obowiązku: Jak zachować powinniśmy się wobec wierzeń religijnych innych? Czy wzniosłe postępowanie przynosi największe szczęście? Znaczenie poezyi dla tych, którzy pragną żyć w duchu i t. d.

Zajmującym jest rozdział zatytułowany: Metody duchowego kształcenia siebie.

Autor radzi, by każdy w celu udoskonalenia siebie wybrał sobie z najwyżej cenionych przez ludzkość ksiąg, te fragmenty, które najbardziej przemawiają do jego duszy, by je odczytywał często w chwilach upadku ducha, by z rana np., przed rozpoczęciem pracy powtarzał sobie któreś z tych wielkich słów. Jest w tej radzie coś zbyt amerykańskiego dla nas—coś z pedanteryi sekciarzy. Ale to pozór tylko. W gruncie rzeczy, każdy z nas ma takie umiłowanie słowa wielkich poetów, z których czerpie niekiedy swoją siłę i pociechę.

Za doskonały środek uszlachetniania duszy uważa obcowanie z przyrodą, a dla natur głębszych—samotność.

Niezbędnem wydaje mu się takie „obcowanie z tajemnicą,“ jak się wyraża. Ostrzega jednak, że niektórym umysłom grozi na tej drodze niebezpieczeństwo opanowania przez zabobon.

Nie pomija autor ani jednego przedmiotu z tych, którymi w ostatnich czasach najżywiej zajmowała się ludzkość. Dotyka kolejno małżeństwa, rodziny, prawa i rządu, t. zw. ideałów społecznych, własności i t. p., oświetlając wszystkie te kwestye w sposób niekiedy dosyć oryginalny.

Niektóre myśli Sheldona zrodzone na odległej ziemi amerykańskiej, nie dadzą przeszczepić się na nasz grunt. Wiele jednak zdrowem ziarnem paść może na każdą niwę, przedewszystkiem zaś na naszą, na której „nieutulone pragnienie dobra“ krzewiło się i krzewi zawsze z siłą szczególnego entuzyazmu.

H. C.

Dalekie echa.

Korespondent francuzki Juliusz Huret ogłasza w dziennikach wrażenia swoje z ostatniej wycieczki odbytej do Southumpton. Pojechał on obejrzeć rannych, których w liczbie 800 przywieziono z Transwaalu do tego portowego miasta, ale zanim się do nich dostał, uczestniczył prawie wbrew chęci i woli zabieraniu na statki nowego kontyngensu ochotników angielskich, których oddział liczący 160 ludzi wyprawiał na plac boju szef pułku, osiemdziesięcioletni książe Cambridge brat królowej Wiktoryi. Widowisko takie charakteru czysto manifestacyjnego, dla tego, kto je już po kilka razy oglądał, nie przedstawiało nic ciekawego. Te same banalne toasty na cześć starej Anglii wnoszone, te same afektowane miny rycerskie ochotników i te same łzy matek, sióstr i żon ludzi odpływających na wyprawę wojenną. Trochę może mniej było tym razem buty, niż w początkach kampanii u mężczyzn, u kobiet za to trochę więcej żalu a i mniej wiary w to, aby ekspedycya była jednym tryumfalnym marszem—oto różnica cała. Książę Cambridge wydawał się francuzkiemu korespondentowi o wiele więcej pognębionym, niż w analogicznych okolicznościach w Listopadzie roku ubiegłego. Wielkie dotychczasowe niepowodzenia orężne Anglii aż nadto usprawiedliwiają podobne opuszczenie z tonu u takich nawet osobistości, które uśmiech benewolencyi przywdziewać na twarz

potrafią, niby maskę w razie potrzeby. Toż to większa część ich studyów przygotowawczych, z których potem użytkują ku tem pomyślniejszemu dezoryentowaniu łatwowiernych mass ludzkich.

Nie idzie nam tutaj jednak o wyjeżdżających do Afryki, ale o tę garść 800 ludzi, którzy ztamtąd powrócili i teraz leczą się z odebranych pocałunków boerskich — wyjątkowo serdecznych i wyjątkowo hojnych, powiedzmy to odrazu. Szpital wojskowy w Netley mieści się w ogromnej budowli, która dać może przytułek 1,200 chorym. Położony wśród wielkiego parku, zapewnia rekonwalescentom wszelkie warunki pożądane, o czem zresztą zbyteczne jest nadmieniać nawet, skoro mówimy o Anglii.

W pierwszej zaraz sali parterowej jest tutaj 100 z górą rannych w mundurach niebieskich, czapkach czarnych i karmazynowych krawatach, stanowiących umundurowanie szpitalne. W tej chwili cisną się oni dokoła podoficera rozdającego korespondencyę. To, jak wiadomo, dla więźniów wszelkich chwila najpożądańsza, a czyż jest więzienie równie ciężkie, jak szpital?

— To są najmniej chorzy—tłómaczy korespondentowi francuzkiemu młody doktór Szkot, który mu ciceronuje w tym oddziale, ale chodźmy o piętro wyżej, a zobaczymy cięższe rannych. W jednej z sal mieszczącej 12 łóżek, dwóch ludzi leży, pozostali obstąpili kominek, na którym koks żarzy się poza kratą.

— Co wam jest?—pyta młody lekarz pierwszego z brzegu.

Chory jestto sobie mały człowieczyna, dosyć brzydki z powierzchowności, z blond wąsem, który na zapytanie otwiera usta i ukazuje wnętrze jamy całkowicie pozbawione zębów po jednej stronie. Kulka Mausera przycięła mu je wszystkie aż u korzeni, i powędrowała sobie dalej, aby się ulokować w głębi gardła. Całe tygodnie siedziała tam, aż ją wyjęto tutaj w Anglii. Zachował on ten afrykański prezent na pamiątkę, i teraz na żądanie gościa wydobywa pocisk owinięty w gazetę. Niewielkie jest to licho, pomimo że takie dotkliwe spustoszenia robić może. Kształt ma podłużny podobnie jak kule karabinowe Lebla, grubości obsadki od pióra stalowego, a długi blizko na 4 centymentry.

To właśnie po to, aby przywieźć w gardle ten upominek afrykański, pojechał był biedak z Anglii przed jakiemiś trzema miesiącami, a jechał śpiewając, jak powiada sam.

— A wy na co cierpicie?—pyta lekarz następnego.

Ten znowu, to młody człowiek szczupły i mizerny o oczach błyszczących, który opowiada, że dostał kulę w kolano jedną, drugą w udo, a trzecią w ramię. Ta w udzie sprawia mu dużo boleści, i w istocie ile razy odetchnie silniej, chwyta się za bok, i czuje ciągle, że ona tam jest.

— I gdzież to powitano pana tak uprzejmie?

— Pod Colenso.

— Pamięta, że ich zbudzono tego dnia o drugiej po północy, a było to 15 Grudnia i że bitwa rozpoczęła się o 6-ej. Ranny został dopiero o 12-ej i tak sobie leżał na polu bitwy w zupełnej nieświadomości, aż do następnego ranka, bez pokarmu, napoju i opatrunku, ale za to z gorączką jak się należy. Ci dwunastu wszyscy są z pod Colenso.

Inny opowiada, że dostał ranę, podczas gdy dawał pić towarzyszowi, który konał obok niego.

Tamten pokazuje z tyłu głowy długą bruzdę, pozbawioną włosów, którą mu tak wyorała kula podczas gdy leżał na ziemi.

— A czy też widziałeś pan, jak wygląda boer?—pyta p. Huret.

— Ale zkąd!—przecież oni strzelają z poza szańców, a my ciągle staliśmy w otwartem polu. Nie wiadomo było, co robić ze sobą.

— A generała Bullera widziałeś pan przecież?

— O tak! galopował pomiędzy nami. E! ten się kul nie boi! trzeba mu przyznać.

— Jakież jest najsilniejsze wspomnienie, które panu pozostało?

— Krzyki ludzkie. Okropne krzyki dokoła rozlegające się, szczególnie po przeleceniu każdej bomby. Kiedym tak już leżał, nie mogąc się ruszać, zajmował mnie bardzo koń, który miał strzaskaną nogę granatem, i który wierzgał ciągle nogami wśród kałuży krwi. Podczas gdy boerowie bombardowali nasze pozycye, widziałem jak przy armatach angielskich stało dwóch kanonierów — stali sami jedni, pomimo deszczu granatów. Byli bezczynni zupełnie, bo nie było tam nic do roboty. Trzeba dwunastu ludzi do obsługi jednej armaty, a ich było już tylko dwóch.

Zbliżyli się następnie do innego, który miał trzy palce lewej ręki urwane. Bardzo przykre wrażenie robi taka ręka. On wpatruje się ciągle w ten szczątek z zajęciem zawsze jednakiem, wpatruje z pewnem osłupieniem. Biedny chłopiec! porusza wtedy głową z wielkim smutkiem.

Na zapytanie francuzkiego gościa, czy mieli zawsze poddostatkiem żywności, mówi z uznaniem.

— Oh, tak: *plenty. Plenty beef, plenty bread, plenty potatoes*, a za napój woda—czasem tylko piwo.

W przyległej sali jest jeszcze jeden ranniony z pod Colenso. Jestto wysoki młody człowiek z rudym zarostem, z bardzo łagodnemi niebieskiemi oczyma. Ten jest pięć razy raniony: w kolano, udo, łopatkę, w ramię i w rękę.

— Upadłem — powiada — bo to uderzenie w nogę było bardzo mocne. To już nie była kula Mauzera, to odłamek granatu tak mnie skaleczył. Ale widziałem kolegów, co mieli po pięć i sześć ran, a mimo to szli dalej i strzelali precz. Kula, to nie jest taka wielka rzecz, byle tylko nie położyła człowieka na miejscu.

Ciekawe było, powiada Huret, dowiedzieć się, jak też ci ludzie tłómaczą sobie przyczyny klęski. Zapytuje o to tego właśnie żołnierza.

— To nie była żadna klęska, to było niepowodzenie. A zresztą cóż to tak szczególnego, że nas pobito? Nie wiedzieliśmy nic o pozycyach boerów, a wysłano artyleryę naprzód na brzeg Tugeli. To też jak wybito obsługę przy działach, nie było komu zasłaniać piechoty, i staliśmy odkryci w szczerem polu. Oni nas widzieli, a my ich wcale.

Mówi to wszystko bez uniesienia, monotonnie, bez oznaki ożywienia w tych oczach niebieskich.

— A więc i pan także nie widziałeś boera żadnego?

Robi głową znak, że nie widział. A ponieważ wyczerpał już jak się zdaje wszystko, co mu było wiadomem, ukazuje drugiego, dodając:

— Ten był pod Belmontem.

Ów z pod Belmontu, to mały brunet, Walijczyk z pochodzenia, uśmiechnięty i sympatyczny bardzo. Był w trzech bitwach, zanim został ranionym. Opowiada, że pod Modder-River Anglicy byli zwycięzcami, a dowód na to, że wzięli pozycye nieprzyjacielskie. Widać nie wie, co było potem.

— Zawsze to było niedobrze, że nas posłano tam pod Maggersfontain—powiada dalej.— Nie znaliśmy miejscowości zupełnie, nawet nie wiedzieliśmy, że tam w tych transzejach jest nieprzyjaciel. To też generał Wauchope upadając raniony śmiertelnie, zawołał jeszcze: Chłopcy, to nie moja wina — to nie ja was wprowadziłem tutaj. I zaraz potem umarł.

Przybliżyli się potem do jakiegoś młodzieniaszka, który im z uśmiechem pokazywał, że mu kula utkwiła w boku, co popiera okazaniem płyty zdjętej sposobem radiograficznym, na której widoczna jest w istocie ta kula. Jego to bawi.

— A zkąd pan przyniosłeś sobie tę zabawkę—pyta doktór.

— Z pod Belmontu. Szliśmy na bagnety. Myślę sobie: no, teraz przecie zobaczę choćby jednego! Tymczasem ja jego nie zobaczyłem, tylko on mnie. Ogromnie mnie to zirytowało.

Na łóżkach leży dwóch ludzi; zbliżamy się do nich, mówi opowiadający. Jeden jest bardzo wyniszczony i w tej chwili trapi go gorączka. Dostał 5 kul. Jedna w przedramie na wylot, druga w rękę, trzecia w łopatkę już wydobyta, czwarta w nogę, piąta w plecy, która wyszła piersią lewą. Opowiada chory o tej ostatniej, bo reszta go nie interesuje tyle. Był w eklererach generała French'a. Przybyli wraz z towarzyszem na jakiś pagórek. Wtem koń odmawia posłuszeństwa—nie chce iść dalej. Zchodzę, powiada, z niego, zdejmuję ostrogi i próbuję go pociągnąć za sobą. Ani sposobu! Klątem co się zmieściło i kiedyśmy się tak pasowali ze sobą, przyszła ta waryatka ostatnia i tak mnie ubrała! Z tamtemi czterema można było jeszcze od biedy dobić się końca dnia.

Doktór powiada, że miał on krwotoki płucne przez trzy tygodnie, ale przyjdzie do siebie. Mocny osobnik w każdym razie!

— I któż pana podniósł z pola?—pyta doktór.

— Boerowie panie — boerowie! Zaraz mi okryli głowę płótnem, bo upał był ogromny, i zanieśli mnie aż do forpocztów angielskich. Dobrzy byli dla mnie bardzo.

Ilu tylko pytał się Francuz o boerów, wszyscy jednozgodnie przyznawali, że ich nie widzieli na oczy.

— Mnie pięść zmiażdżył także ktoś—powiada jeden z żołnierzy, a Bóg widzi, że nie wiem kto.

Do jakiegoś, co miał głowę owiązaną bandażem zbliżył się Huret z zapytaniem, czy nie życzyłby sobie powrócić do Transwaalu. Dok-

tór powtarza mu zapytanie, bo ma uszy zasłonięte; mówić także nie może, bo mu kula zgruchotała szczękę, ale zrozumiawszy o co chodzi, daje odpowiedź potakującą.

W każdym razie nader pouczającą jest postawa tych rannych. Przedewszystkiem oddają oni sprawiedliwość nieprzyjacielowi, co jest z ich strony bardzo pięknie. Następnie mimo ran kilkakrotnych zdradzają ochotę powrócenia na plac boju, co jest jeszcze piękniej. A najpiękniejszem jest to, że nie sądzą wodzów swoich, nie złorzeczą im, i nie pomawiają o zdradę.

Nie tak w analogicznych sytuacyach postępuje sobie Francuz, że już innych pominiemy zupełnie.

S.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Zbiegł ze schodów jak rozbawiony wyrostek, a ja wyszukałem za domem wskazane mi storczyki i otrząsałem się z wrażenia śmieszności, jakie na mnie Frydecki ostatniemi słowy uczynił. W drodze do różnokształtnych kwiatów, piastowanych przez Frydeckiego z tą pieczą i miłością, których mu w sercu dla Flory brakowało, zatrzymałem się na chwilę niepostrzeżenie u jednego z dolnych okien, z którego buchające kłęby gorejącej pary objaśniły mnie, że się tam kuchnia znajduje. Flora dawała tu rozkazy i sama układała jakieś ciasta na półmisku, zdobiąc je smażonymi owocami. Rzecz dziwna, przy tej nawet pracy, pośród rondli i słoików komputowych, nie odstąpił jej ani na okamgnienie wdzięk jej niezwykły, i storczyki Frydeckiego, ta jego pycha, nie zajmowały mnie bynajmniej i nie zdążyły spłoszyć ani na chwilę obrazu Flory krzątającej się w kuchni.

Ale zdumienie Frydeckiego było zapewne także niemałe, gdy zjawiwszy się koło mnie spytał, jak mi się te jego dziwy przyrody podobają, a ja nie zwracając uwagi na jego słowa, śpiesznie ku domowi się zwróciłem i chciwie z siebie jeno wyrzuciłem pytanie:

— Co mówi Flora?

— Mówi, że czas siadać do obiadu — odpowiedział zdziwiony bezgranicznie mą obojętnością dla storczyków!

Pociągnął mnie do salonu, gdzie tymczasem stół już nakryto.

— Jadalnię mamy ciasną — wymijał dalsze pytania, których zadawać mu nie przestawałem—tu będzie nam daleko przyjemniej.

— Ale mówże pan, na Boga, co powiedziała Flora. Pojmujesz pan przecie, że mnie pańska jadalnia bynajmniej nie obchodzi.

— Jakąż złą masz pamięć! Powtórzyłem ci przecież już w ogrodzie, co powiedziała Flora: że czas siadać do obiadu.

— Nie żartuj pan! Zgadza się na nasz związek?

— Myślisz, że ją o to pytałem? To twoja rzecz i twoje prawo. Powiedziałem jej tylko czego sobie życzę, i nie czekałem na żadną odpowiedź. Trzymajmy się tego, cośmy między sobą ułożyli: pomówisz z nią sam po obiedzie!

Widziałem, że wszelkie badanie tego dziwaka będzie daremnem, i zdecydowałem się milczeć i spokojnie czekać swego losu. Zresztą, byłem prawie pewny, że Flora się zgodzi. Miłość własna szeptała mi, że wrażenie, jakie na dziewczęciu zrobiłem, nie było nieprzychylne, z wyjątkiem tego małego *fiasco*, które było wynikiem niezgrabnego mego napadu na biedną panią de Chantal.

VI.

Frydecki był wesoły do niepoznania, gadatliwy jak kobieta, rozfiglowany jak wyrostek na wakacyach, ale mimo to nie zdołał rozproszyć mojej zadumy. Flora nie ukazywała się długo, a gdy weszła nareszcie, siadła w milczeniu do stołu. Wyraz twarzy jej był spokojny, ale bladła i czerwieniła się ustawicznie i nieustannie popijała wodę mikroskopijnymi łykami. Jadła prawie nie tknęła. Za to Frydecki napełniał bez przerwy swój talerz i mój prawdziwemi lawinami wszelkich potraw, i wziął sobie nietylko mnie, lecz i samą Florę za cel niedelikatnych, a nawet przykrych aluzyj do przyszłego naszego związku.

Flora cierpiała widocznie. Już w niezwykłej jego wesołości było coś dla niej urażającego. Ta niezmierna radość, „że się jej pozbędzie,“ raniła ją zapewne do głębi duszy, i kilkakrotnie podnosiła na niego trwożne, spuszczone oczy z wyrazem, jakby go błagała o łaskę. Ukłuło mnie to w serce, ale Frydecki był jak gdyby ślepy i głuchy na męki biednego dziewczęcia.

— Nie wierz nigdy kobietom, Łazarzu! — woła ze śmiechem. — Patrz naprzykład na Florę. Dziwisz się, że nic prawie nie je; myślisz z pewnością, że jest utkana z eteru i że tylko z pszczółkami nieco pyłu kwiatowego spożywa, albo mniemasz może, ponieważ czyta nieustannie żywoty wszelakich, niekiedy nader dziwacznych, świętych, że zapewne wybrała sobie za ideał św. Rozalię Peruwiańską, która, jak legenda jej twierdzi, siedmioma na tydzień karmiła się pomarańczami? Waryacye! To wszystko tylko tak na oko, po obiedzie dopiero zmieni się Flora w żarłoczną wilczycę i zje wszystko, co jej pod rękę wpadnie, nawet z połowę niedojrzałego owocu w naszym ogrodzie. Udaje tylko, abyś nie myślał, że jest jedną z tych panien, które przejadają wszystko, co w posagu przyniosą.

Śmiał się na całe gardło. Flora starała się wyczarować również jakiś uśmiech, acz przy prostackich tych aluzyach bladła i znowu czerwieniła się ze wstydu. Dziękowałem Bogu, gdy się długi ten obiad nareszcie skończył, a Frydecki, zasiadłszy do siesty na kanapce, nas na ten czas do ogrodu uwolnił. Nie daliśmy się długo prosić, Flora wzięła mnie pod rękę, którą jej podałem, i ulżyło nam obojgu, gdy jabłonie i grusze ogrodu w modrem powietrzu nad głowami nam zaszumiały.

Flora powiodła mnie w najdalszy koniec ogrodu, do rozkosznego zacisza. Był to miękką trawą zarosły wąwóz, utworzony przez zwietrzałe odnogi skalistego stoku. Polne róże osypane białem i czerwonem kwieciem, pięły się po wilgotnych ścianach skał i uściełały trawę wonnymi płatkami. Stare pokrzywione drzewa, zjałowiało już przez wiek, stały tu gęsto obok siebie, i zdało się, że podają sobie ręce jako druidzi przy mistycznym tańcu na cześć gwiazd. W gęstym ich cieniu kwitło tyle ziół wszelkiego rodzaju, że było widoczne, iż przesadzono je tu z łąk, pól, a nawet z lasu, aby w tej świątyńce nieznanej bogini barwny tworzyły kobierzec i przybytek jej miłą napełniały wonią. Pod ruchomym baldachimem z ciemnych bluszczów, pnących się od pnia do pnia, między dwoma najstarszemi drzewami, było urządzone darniowe siedzenie — niby piedestał dla czarownego, przebywającego tu bóstwa.

— To mój park—rzekła Flora z uśmiechem i siadła na darniowej ławeczce, zapraszając mnie, bym toż samo uczynił. Potem otworzyła mały koszyczek, wyjęła kilka garści okruszyn i w bujną rzuciła je trawę. Z krzaków i koron drzew spadła wnet cała chmura świegotliwego ptactwa i zabrała się bez wahania de biesiady, którą Flora tym przyjaciołom swym przygotowała. Patrzała z miłością i zachwytem na pierzaste swe stadko.

Nastąpiła chwila milczenia. Rozmyślałem, jakby zacząć o sprawie swej mówić. Było to trudniejsze, niż mi się przedtem zdawało. Czułem dla Flory wielki szacunek, podziwiałem jej cierpliwość i cichą rezygnacyę względem niełaskawego, surowego ojca, byłem oczarowany naturalnym wdziękiem i czystością jej postaci, ale napróżno szukałem słów, niemiałem uczuciom swym dać wyrazu, któryby wychodził poza granice zwykłej banalności. Poznałem w tej chwili ciężką klątwę cynizmu i sceptycyzmu, które, niby jad ostry, duszną rozżerają harmonię, uczułem, jak ciężko mści się na nas, mężczyznach, częste i chętne obcowanie z kobietami mniej anielskich charakterów, niż Flora była. A ostatecznie, cóż wogóle mogłem powiedzieć? Cóż można było mówić o uczuciach, które prawie równały się miłości? Było to prostem niepodobieństwem. Toć sam jeszcze nie zdawałem sobie jasno sprawy, jak nagły ten zachwyt dla młodego dziewczęcia nazwaćby należało, a Flora łatwo mogła wziąć mnie za kłamcę lub obłudnika.

— Najlepiej tedy będzie — postanowiłem— zostawić na boku czuły romantyzm, wrócić do pierwotnego zamiaru, z którym z domu wyjeżdżałem, i pomówić z Florą zimno, rozważnie i rozumnie, jak człowiekowi mych zapatrywań i mego doświadczenia przystoi.

Krótki i niemy ten monolog w myślach — dodał mi męztwa.

— Floro — zacząłem, tłumiąc gwałtem najsłabsze nawet drgnienie głosu—chciałbym pomówić z tobą o rzeczy nader poważnej! Czy poświęcisz mi chwilę uwagi?

Zaczerwieniła się gwałtownie—odgadła niewątpliwie do czego zmierzam.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Projektowana instytucya.

Nie po raz pierwszy słyszymy, iż pożądanem byłoby u nas zawiązanie stowarzyszenia, którego zadanie stanowiłoby zabezpieczenie dzieci przeciw okrucieństwu, na wzór podobnych towarzystw istniejących zagranicą, z wielkim, jak powiadają, pożytkiem. Obecnie jedno z pism codziennych podaje w tej sprawie obszerny artykuł przedstawiający działalność instytucyi funkcyonującej w Anglii pod nazwą: „Narodowe stowarzyszenie dla ochrony dzieci przed okrucieństwem.“

Wedle cyfr, jakie przytacza sprawozdanie, stowarzyszeni mają przed sobą nie byle jakie zadanie do spełnienia. Cyfry mówią, że liczba dochodzeń wdrażanych przeciwko rodzicom występnym, doszła w roku 1889 do 28,165 wypadków, co zaś do rodzaju wykroczeń, jakich się ci rodzice dopuszczali, to przedstawiają się one w ten sposób: Było wypadków rozmyślnego głodzenia i zaniedbania 21,755—złego traktowania lub napaści wypadków 3,748—opuszczenia zupełnego 414—zniewalania do żebraniny 1,240—niemoralnych czynów względem nieletnich 633 i rozmaitych bliżej nieokreślonych krzywd 345 wypadków. Ogółem wzięto w opiekę publiczną 45,732 dzieci.

Podobno interwencya sama publiczności w sprawy domowo-rodzinne wydała rezultaty najpożądańsze, wiele bardzo rodziców po pierwszych zaraz ostrzeżeniach zmieniło postępowanie względem dzieci, a inni wobec dochodzenia samego okazali tyle skruchy i dali takie rękojmie, że na 14,500 rodzin, przeciwko którym rozpoczęto dochodzenie sądowe, 300 zaledwie okazało się tak niepoprawnych, iż potrzeba odebrania im dzieci, uznaną została za nieuniknioną.

Niezależnie od filantropijnej działalności osób dorosłych, jako czynnych członków stowarzyszenia utworzyła instytucya filię pomocniczą, składającą się z dzieci szczęśliwych, należących do rodzin oświeconych i przykładnych. Związek ten nosi nazwę „Ligi litości,“ złożony jest z samych dzieci, które nie wtajemniczane przez starszych w ujemną stronę tych stosunków rodzinnych, zapoznawane są jedynie z jej dodatnimi wynikami.

Bardzo, bardzo dziwny jest ten stan rzeczy, i nielada oskarżenie mieści się i w konieczności samej założenia podobnego stowarzyszenia opieki publicznej nad dziećmi wynaturzonych rodziców, zarówno jak w przerażającym prawdziwie stosunku tego rodzaju wyrzutków do całego społeczeństwa. Juścić jeśli wśród sześciomilionowej ludności Londynu 45,000 dzieci cierpi krzywdę albo okrucieństwa, to społeczność taka musi być koniecznie zaliczoną do moralnie wyrodniejących. Słysząc o takim stanie rzeczy wśród pewnej społeczności, a jednocześnie o potrzebie postawienia u nas odpowiedniej instytucyi ochronnej, niewiadomo czemu się dziwić więcej — czy tamtemu znieprawieniu warstw ciemnych, czy pomysłowi powstałemu u nas naśladowania środków zaradczych — u nas, gdzie złe samo z łaski losu nie istnieje, albo jeśli słychać o niem, to z rzadkich wypadków—rzadkich wyjątkowo. Obstajemy przy twierdzeniu naszem: rodzice tyranizujący swoje dzieci są u nas niezmierną rzadkością, i tylko wśród żywiołów dających kontyngens więzieniom znaleźć ich można, a przeciwko takim żadne znowu stowarzyszenie, choćby nawet uzbrojone w poparcie czynne praw, nic nie zdziała. U nas opieka publiczna należałaby się jednemu tylko sieroctwu i to takiemu sieroctwu, gdzie dzieci pozbawione są matki; tam, gdzie została matka, tam udzielona jej pomoc i poparcie wystarczy dla sierot zupełnie. Kto inaczej twierdzi, tego posądzić możemy, że albo nie zna stanu swojej społeczności i bezpotrzebnie pozwala się udręczać nieusprawiedliwionemu pessymizmowi, albo też lubi angielską milą przejechać się czasem, i cierpi na pickwickowską manję zakładania stowarzyszeń.

Wielebyśmy to tych stowarzyszeń wpierw założyć powinni, zanimby przyszedł czas i kolej pomyślenia o tamtem!

Co do „Ligi litości,“ w której uczestniczyć mają dzieci szczęśliwe, to z punktu czysto wychowawczego zapatrujemy się na każdą tego rodzaju robotę, jako na akcyę dopuszczalną jedynie w romansach. W życiu budzenie ducha organizacyi obywatelskiej może być tak samo przedwczesnem, jak budzenie innych uczuć dodatnich. Stygną niezmiernie rychło w akcyi życiowej ci wszyscy, którym obowiązek publiczny suggestyonowano w dzieciństwie. Niech tylko będzie gotowość czynu, gdy na ten czyn czas właściwy przyjdzie, a dziecku pozwólmy być dzieckiem — nie samolubnem broń Boże—nie egoistycznem, ale dzieckiem w każdym razie.

Szczególnie bo nam pilno jest — osobliwie chciwi jesteśmy na wszelki owoc niedojrzały.

Uznanie u obcych.

Henryk Sienkiewicz otrzymał w tych czasach od Cesarza austryackiego odznaczenie honorowe przyznawane w monarchii Habsburgskiej uczonym, równie jak wybitnego talentu pisarzom i artystom. Odznaczenie to ustanowionem zostało w Austryi w roku 1887. Z obcokrajowców wyróżnił monarcha austryacki tą oznaką tylko następne osobistości: Królowę Rumuńską (Carmen Silva), profesora Martensa, Rudolfa Virchowa, ks. de Broglie, Teodora Mommsena; artyści: Adolf Menard, Boecklin i Verdi.

Zabawy Wielkopostne.

Bardzo małej liczbie osób wiadomem jest, że w Warszawie przy ulicy Bednarskiej Nr. 19-ym, znajduje się schronienie, dla ubogich szwaczek, a raczej przytułek dający opiekę pracownicom w wypadkach nadwątlonego zdrowia lub cięższej choroby. Początkująca ta instytucya zostająca pod protektoratem prezesa komitetu Towarzystwa Kred. Ziemskiego p. Ludwika Górskiego i hr. Kazimierzowej Krasińskiej, rozporządza dotąd środkami bardzo ograniczonymi, i dlatego pożądanem by jej było poparcie szerszych kół publiczności. W drugim tygodniu wielkiego postu na korzyść schronienia odbyć się ma w salach redutowych wielka zabawa połączona z tombolą. Zapewne publiczność zechce poprzeć czynnie myśl zwiększenia funduszów dla inwalidek najmozolniejszego, a najgorzej wynagradzanego z zawodów kobiecych.

W dniu 13 Marca odbędzie się koncert na rzecz kasy literatów i dziennikarzy. Pierwszorzędni soliści tutejsi, zarówno jak cały skład lutni z p. Maszyńskim na czele, przyobiecali swój współudział.

Wskazówki i rady.

Jak postępować z drobiem po zabiciu.

Każdy drób powinien kruszeć kilka dni, stosownie do pory roku, temperatury w jakiej bywa przechowany i wieku swego. Po zabiciu oskubać póki ciepły, piersi, grzbiet i wolę, zostawiając pióra na skrzydłach, wypatroszyć kiszki, zaczepiając drewienkiem o jedną, a wszystkie się wyciągną, i powiesić w chłodnem miejscu. W zimie indyki, kaczki, kury, kapłony i gęsi wisieć tak mogą od tygodnia do dwóch nawet, a na wiosnę ledwie tydzień. Biorąc do użytku, oskubać starannie ze wszystkich piór, oderżnąć szyję, skrzydła i nogi, opalić nad słomą lub papierem z włosów, jakie się znajdują, potem rozpruć nożem, wnętrze oczyścić, wyjąć wątróbkę i żołądek, z których z jednej żółć, a z drugiej żywność odrzucić, drób zaś wymyć starannie, zmieniając kilkakrotnie wodę, po każdej wycierać sztukę pszenną mąką, która zabiera z sobą wszelkie nieczystości osiadłe na skórze. Oczyszczony powinien leżeć w wodzie z godzinę, następnie starszy posolić na godzinę przed pieczeniem—młodszy na pół godziny. Kurczęta skubać na ciepło po zabiciu, nie mocząc po oczyszczeniu wcale, skrzydła, szyjki i nóżki parzyć, bo inaczej się nie da skubać—solić na kwadrans przed włożeniem na rożen. Tylko bardzo malutkie kurczęta można parzyć i to ciepłą nie gorącą wodą; różnica między parzonemi a skubanemi jest zbyt widoczna.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani L. G. w Łomży. Arkusze z krojami przychodzą gotowe z zagranicy, nie możemy więc nic zmieniać ani dać formę podług życzenia. Gotowych form dopasowanych podług nadesłanej miary na centymetry może Sz. Pani dostać na ulicy Niecałej Nr. 10 (Maison Phenix). Spódnica gładka kosztuje rs. 1 k. 20 i wyżej, peleryna 50 lub 75 kop.

Stałej prenumeratorce w S. Model sukni ślubnej podamy w dodatku do Nr. 12 lub 13.

Stałej prenumeratorce A. Z. Żałoba o którą Sz. Pani pyta nosi się kwartał—suknia z matowej wełny bez pleurezy z angielskiej krepy, tylko welon krepowy upięty w róg z tyłu kapelusza. Po trzech miesiącach można krepę odrzucić i przez drugie trzy ubierać się czarno—w tym okresie noszą dżety, materye, wstążki.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

JAN GRUCZYŃSKI i S-ka

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

CENY PRZYSTĘPNE.

na sezon karnawałowy polecają:

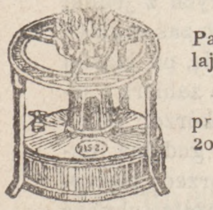
Wełny z jedwabiem na suknie wieczorowe.
Jedwabie od skromnych do najstrojniejszych adamaszków.
Gazy i Muśliny jedwabne w najmodniejszych kolorach.
Tiule i muśliny bawełniane fantazyjne.

Aksamity miroir, Koronki, Wstawki, Gipiury i Galony. *CENY PRZYSTĘPNE.*

SKŁAD WYROBÓW
Saskiego Akcyjnego Towarzystwa
Fabryki Bronzów

Bielańska № 1

poleca wykwintne lampy i żyrandole do gazu, elektryczności, oraz naftowego oświetlenia. Galanterya bronzowa wszelkiego rodzaju. Ceny fabryczne. 177



Gazo-naftowe maszynki „*Gwiazda*"

Palą się bez knota i pompki, zużywają nafty za $1/2$ k. na godz., nie wydzielając żadnego zapachu. **Sztuka rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 2.**

Kuchnie kieszonkowe „*Dublex*"

przygotowujące pokarmy nader śpiesznie, nawet w największych naczyniach
2019 **Ceny te same.**

Sprzedaż wyłączna u wynalazcy ***I. Łuba***,
LESZNO Nr. 63, w Warszawie.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA
Ubiorów damskich
z pensyonatem

EMILII EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechowej z medalem i dyplomem Akademji krawców paryzkich.

Warszawa, Chmielna 24. 133



AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich

JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

Warszawa, Plac-Teatralny № 11.

Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
mianowicie:

MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.

☞ Pierwsze źródło tej branży. ☜

CENY PZYSTĘPNE. 19

Ważne dla Pań!

Kuchenki naftowo-gazowe „Primus"

znalazły obszerne zastosowanie w gospodarstwie domowem, służą bowiem do gotowania i do nagrzewania ***żelazek do prasowania.*** „Primus" z przyrządem do prasowania nadaje się szczególniej dla pracowni sukien. **Nafty zużywa za 1 kop. na godzinę.**

Sprzedaż u **Ed. Dusoge**

Nowy Świat 5.
CENNIKI GRATIS. 211

Poleca modną biżuteryę z



czeskich

granatów

JAN REIMANN

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście №. 43.

Fabryka i skład główny w Pradze Czeskiej Příkopy 10.

Filje: w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Karlsbadzie, Cieplicach. 113

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne
Handlu Towarami Aptecznymi

dawniej

Zjednoczeni Aptekarze i Ludwik Spiess i Syn

Pozwalamy sobie podać do wiadomości, że z dniem 1-ym Stycznia r. b. otworzyliśmy w filii naszej na Placu Teatralnym nowy oddział **Środków opatrunkowych, Wyrobów gumowych i Przyrządów chirurgicznych.**

2006

Portrety olejne
Ludzi Znakomitych:

Królowej Jadwigi, Sobieskiego, Stefana Czarnieckiego, Ks. Skargi, J. I. Kraszewskiego

Każdy rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50. **Pięć portretów razem** rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 50.

Cykl obrazów kolorowanych, pod ogólnym tytułem

Błogosławieństwo temu domowi

Ojcze nasz. Zdrowaś Marya. Wierzę w Boga.

Każdy po rs. 1 kop. 50.

Obraz kolorowany *Fr. Kostrzewskiego* **Rozkosze dziadunia** rs. 1.

Nabywać można w Administracyi Biesiady Literackiej,
Warszawa, Chmielna 26
oraz we wszystkich księgarniach.

Prywatna nauka technicznych rysunków oraz **ręcznych dla kobiet, trwająca 4 miesiące**

Aleje Jerozolimskie 70 m. 7. 2027

Dostawcy Dworu.

TOWARZYSTWO **A. RALLE i S-ka**

w Moskwie.

polecają: PERFUMERYĘ.



„Pensée"

Perfumy, Puder, Mydło i Wodę Kolońską

dostać można w Magazynie własnym
w Warszawie, ulica Wierzbowa № 7,
i w znaczniejszych magazynach perfumeryjnych,
oraz składach aptecznych.

Н.С.НИКОЛЬСКIЙ,МОСКВА.

Дозволено цензурою. Варшава, 22 Февраля 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**
Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.